NUMER 12. DNIA 19. MARCA 1905 ROKU. ROK XIII.

# TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

## SZKICE Z OKNA.

*Warszawa od 28. stycznia do 2. lutego 1905.*

I.

Doskonale widać ulicę. Warstwa zbrudzonego śniegu, z koleinami, pełnemi mętnej wody pokrywa bruk z polnych kamieni. Chodnik lśni wilgocią, spływającą z archipelagów grudek lodowych, po których ślizgają się nogi przechodniów. W powietrzu suną tu i ówdzie duże płatki śniegowe i ledwo zetkną się z ziemią, giną przeobrażone w wielkie krople wody.

Szare, brudne, smutne miasto. Zwykły widok niezdecydowanej zimy.

Ale człowiek, który patrzy na świat oczami nadziei, widzi w nim złote błyski. A ten, komu wiara ducha wzmacnia, widzi w nim zorze purpurowe i mocny jest wiarą w kochanie swoje. Niema siły bez ukochania, niema siły bez nienawiści. Człowiek jest silny tylko miłością. A siła pragnie czynu; bez niego niema dla niej wyzwolenia, niema słów:

„Otom jest, objawiona w nieśmiertelność“.

Ulicą idą drobiny wszechśmiałe — ludzie. Drobiny kruche i wiotkie. Z dachu oderwany sąpel lodowy może każdą z nich wymieść z życia niepowrotnie.

Jakaś drobna miara zmarzłej wody musi spaść i rozbić się w kawałki, i taki jej los, który na losy drobin myślących ma wpływ.

Każdemu człowiekowi, każdej rzeczy grozi na nitce trafu zawieszony grom. Na kogo spadnie, dla kogo przeznaczony — niewiadomo.

Idą ludzie, a na każdym z nich życie inne wyciska piętno. Życie i bezżycie.

Co mówi twarz tej starej kobiety w czarnej sukni, z szyją okoloną żółtym starodawnego kroju kołnierzem futrzanym? Postacią przypomina dzwon z podobizną ludzkiej głowy na wierzchu. Twarz jej — to zmięta, pożółkła ćwiartka papieru, na której wegetacja wypisała nieczytelne hieroglify, określone tym krótkim, zdawkowym wyrazem — nic.

Koło niej drepcze pięcioletni chłopak. Na jego okrągłej buzi maluje się ta szczerość, będąca jednym z największych, najbardziej pociągających czynników sympatji, którą wzbudzają w nas dzieci.

Chłopiec rozgląda się ze zdziwieniem dookoła. Wszystkie sklepy zamknięte, niektóre deskami pozabijane, bielą się krzyże, naznaczone kredą na żaluzji, święty obraz widnieje za kratą żelazną. Ani jednej dorożki, ani jednego tramwaju, ani jednego powozu.

— Jak na Wielkanoc — odzywa się staruszka.

To nie Wielkanoc, to ogólny strejk w Warszawie.

— Co to się dzieje, co to się dzieje! — szepce pani w kołnierzu.

Nic ale — bo nic a nic nie rozumie. Czemu ludzie chodzą z tak dziwnym wyrazem twarzy. Bije z nich jakaś radość i rozpacz i zaciekłość jednocześnie.

Chociaż to niedziela chudy wyrostek z rozmachem i pospiechem zamazuje wapnem rosyjski szyld rzeźniczy. Raz, dwa, trzy! napis zniknął; chłopiec mknie dalej ze swoją robotą. I policji nie widać! Czyżby... staruszka nie ośmiela się nawet sformułować zuchwałej myśli. Nie rozumie!

Niech się pani nie wstydzi swej nieświadomości. Na równi z panią nic nie rozumieją i tacy, którzy wydają odezwy do Rodaków i gadają, gadają, gadają... i mają po pięć posiedzeń dziennie, zakończonych zawsze jednym wnioskiem: „nie czas, nie pora, nie nasz ruch!“ Niech gadają i z pustego młyna tylko szum leci.

— Już nie daleko do domu, — pyta chłopiec, — prawda, babciu?

— Jeszcze kawałek.

Nagle staruszka przystaje, jakaś gromada ludzi biegnie naprzeciw niej, uciekając w popłochu; za nią pędzi kilkunastu dragonów z dobytemi szablami. Płazują, sieką... Świst, błysk białej broni i staruszka pada z podciętą szyją, żołnierz popędził dalej.

Zaniesiono umierającą do bramy, skonała z upływu krwi na miejscu, przy krzyku chłopca.

— Moskale babcię mi zabili! Babciu, jak będę duży, będę zabijał Moskali.

II.

Noc ciemna, latarnie potłuczone w jednej z nich chwieje się płomyk gazu. Wśród ciszy wyraźnie dobiega do mnie odgłos idącej gromady. Przystanęli przed sklepem kapelusznika.

Słyszę zmieszane głosy z oderwanych wyrazów, czerpanych z żargonu złodziejskiego (bardzo bogaty żargon) domyślam się, że to banda tych ciemnych chwastów ludzkich, będących stale w niezgodzie z przykazaniem: nie kradnij.

Rozstawili czaty i z całą jawnością rozbijają okiennice sklepu. Na jakimś zegarze wybiła jedenasta. Rabują swobodnie i wesoło. W bandzie są dwie kobiety. Krzyczą, śmieją się, hałasują. Około pierwszej hałas przycicha, straże kupią się koło głównego sztabu i rozlega się miarowy tętent wolno sunącego patrolu. Banda przerwała „pracę", patrol staje. Prócz mundurów i broni niema w nim nic wojowniczego. Dowódca łaskawie rozmawia z jakimś drabem.

Ciekawej rozmowy dosłyszeć nie można — głosy są dyskretnie zniżone.

Za to w chwilę później, jeden z żołnierzy dzwoni co sił do bramy i stróż w tęgim kożuchu dostaje ostrą, głośną naganę: Jak mógł pozwolić na rozbicie sklepu w domu jego pieczy powierzonej?! Ty, taki owaki...

Jestem jedynym, zdaje się, widzem odgrywanej komedji. Trwała krótko, patrol spokojnie odjechał a banda rozgospodarowała się znowu w sklepie. O wpół do drugiej „pracę" ukończono.

Nastała cisza, ale pełna tych wrzeń, przenikających każdą żywą duszę.

Rozpacz uciśnionego ludu znalazła małą szczelinę i targnęła okowami, przerażając tych, którzy już nie czują, że gniją w zatęchłej atmosferze niewoli. Nienawiść do wroga sterem rąk zdrowych, potężnych, nienawiść żywotna i płodna w czyny, i biada tym, których długa bezczynność zmiękczyła do kości, że są jak małe dzieci niepewni, chwiejni w swych krokach. Tych nie lęka się nikt. Nie rzeźbiarzami, ale kruchą, oporną gliną swego społeczeństwa będą, a dla wrogów pastwą jękliwą.

Więc w każdem potężnem sercu budzi się żal, że w ojczyźnie tyle mar, nie ludzi, wpatrzonych w papierowy sztandar, stoi bezwładnie.

Patrzą na żywych i szepcą zbielałemi ustami ostrzeżenia trwożne i kłamliwe.

Jęki ranionych i łzy po zabitych mniej bolą od widoku zmartwiałego brata.

A potem płyną w pamięci fale słów mętnych, wyroków ciężkich jak Fatum, opartych na prawie niewiedzy, gadzinowe syki potwarzy zawistnej i nowy ból wpada w serce — ukojony pamięcią o kryształowej czystości duchach, co idą niewzruszone swą drogą, i ognistymi krwawymi śladami ją dla innych znacząc, dla siebie samych nie mają nic — prócz ukochania swojego. A cel walki jest im bolesny. Nie przypada im w udziale walczyć o postęp ludzkości; im tylko walczyć za te prawa najpierwotniejsze, które poza ich szmatem ziemi są chlebem codziennym wolnego człowieka.

Nie im żeglować ku dalekim, najdroższym ideałom, im tylko wepchać swój naród na drogę, gdzieindziej żebrakom nie wzbronioną. Lecz i w tej walce stanie im wrogo ich własny brat!

Chrystusy narodu, każdego dnia umęczani i nie znający przekleństwa.

III.

Już świt. Zapowiada się dzień pogodny, cichy. Znów słyszę tupot grubych butów. Cała gromada, barczystego ludu nadchodzi. Ci nie śmieją się, ale mówią dużo i głośno. Stają przed zrabowanym sklepem, przyglądają mu się.

— Patrzcie, to eleganty dopiero, kapeluszy im się zachciało!

— A dla nas co?

— Wędliniarz dla nas został.

— Ja tam na cudze nie jestem łakomy.

— Ale my głodni.

— I bez strejku roboty niema. Psiakrew.

— No chłopcy, cóż będziemy tu stać i patrzeć na malowane kiełbasy.

Weźcie no się do roboty!

Podnieśli drągi.

Nagle ukazuje się wśród gromady nowa postać.

— Bracia towarzysze, a cóż to czy przyszliście tu na rabunek, — rozbrzmiewa głos spokojny, prawie serdeczny.

Chwila milczenia.

— Co to za jeden?

— Ktoś ty taki?

— Pewno sam wędliniarz!

— Towarzysze, taki ja robotnik jak i wy. Ślusarz jestem. Spójrzcie na moje ręce.

— Kiedyś z naszych, to czemu przeszkadzasz? My głodni, tyle weźmiem, co dla siebie.

— Weźmiecie?...

— Robotnik to nie złodziej, co z drągiem podczas strejku na cudzą własność czyha.

— A dawnoś jadł, mądralo! — zawołał jeden z gromady, potrząsając mu grubym kijem koło twarzy.

Obrońca ani drgnął.

— Myślisz, że się twego kija zlęknę? Nie dość wam kraść, chcecie jeszcze swoich mordować.

— Dajcie pokój! — odezwał się jakiś głos.

— To niech nam da jeść. Słowami głodnego ludu nie nakarmi!

— Słowami karmi, bo tyle ma co i my. Właściciel sam towaru wam podaruje tylko sklepu nie niszczcie.

— Ale, podaruje. A gdzież go będziem szukali?

W tej chwili wyszedł z bramy opasły człowiek.

— Słuchajcie ludzie, ilu was jest, tyle wam funtów wędliny dam, tylko jak chrześcijany się tu rządźcie, a nie jak jakie pobytowce.

Istotnie wkrótce wyniósł gromadzie wędlin, ile mógł udźwignąć.

Pomruk zadowolenia poszedł po tłumie. Salcesony, blutwurszty, wszelki tańszy towar, znajdujący się w sklepie, został „po sprawiedliwości“ rozdzielony i na miejscu spożyty.

— Jak będziem mogli, to wam się odpłacim, żeście ludzki człowiek — żegnali wędliniarza.

Zjedli, otłuszczone ręce zlizywali, obtarli je o kapoty i poszli.

---

W godzinę później przyszedł mój współlokator.

— Zdrów, cały?

— Cały, jestem tylko na wściekłość chory.

— Przeciwnie, to znak, żeś zdrów na umyśle.

— Przenocowali mnie, bo strzelanina szła po ulicach.

— Na rogu Leszna i Karmelickiej — zaczął opowiadać — wprost okien siostry, rozbili sklep kupca...

— Pod opieką patrolu? — spytałem.

— Nie, po odejściu bandy, nadjechał patrol i strzelali do każdego, kto szedł ulicą...

— Na Marszałkowskiej, żołnierze zabili dwóch robotników, którzy bronili sklepu przed bandą złodzieji, puszczonych na miasto przez policję... sprzymierzeńców, rozumie się, nie ruszono.

Podobne fakty powtórzyły się w kilku miejscach.

Już kilkoro dzieci zabito.

W okolicah Chłodnej, późno w noc rozlegały sie salwy...

W ciągu dnia zewsząd nadchodzą wieści.

Po całem mieście hulały gromady „obrońców ojczyzny“, a między nimi oficerowie Polacy: hr. Przeździecki, Robert Heyman i kilku innych.

Przy ulicy Wielkiej pijany dowódca patrolu zleciał z konia. Zanieśli go podwładni do bramy, oblali wodą, a kiedy mógł już utrzymać się na nogach, wsiadł na wierzchowca i strzelał w prawo i w lewo. Zabił trzech ludzi w przeciągu kilkunastu minut. Nie darmo umiał celnie strzelać.

Za patrolami tu i ówdzie leciał również celny strzał. Spadał żołnierz z konia, ale gdzie zabójca?

Widziałem go, lecz nie upoważnił mnie do wskazywania sposobu samoobrony, jaki sobie wymyślił. Ot! Kolumbowe jajko!

W okolicach ulicy Ciepłej jakaś kobieta podtrzymuje starca z pokrwawioną twarzą: zdeptali go piesi żandarmi, wysłani „dla podtrzymania porządku publicznego“. Żołnierze lecieli prędko, był czas podnieść starca, zanim nadjechał oficer żandarmski.

— Panie — woła kobieta — za co oni potratowali tego biedaka?

Miała jeszcze złudzenia... cóż dziwnego — wyglądała na lat dwadzieścia.

— Za co? — powtórzył oficer. Ot jemu jeszcze na pamiątkę.

Wypłazował starego.

Takimi to tryumfami w Warszawie waleczna armja rosyjska równoważyła swoje klęski na dalekim Wschodzie.

ELIZA ORZESZKOWA. 2)

# DZIWNA HISTORJA.

(Ciąg dalszy.)

Szliśmy po murawie rozmawiając, zrywając jaskry i bratki, gdy on, ujrzawszy nas, niespodziewanem spotkaniem zdziwiony i zabawiony, stanął u wysokiego krzaku dzikiej róży. A mnie, od pierwszego spojrzenia przewinęła się po głowie myśl, że jest mu w różach ogromnie do twarzy.

Gdy na powitanie nasze odkrył głowę, to z połyskami ciemnego złota we włosach, z czołem białem, z oczyma i ustami rozbłysłemi od uśmiechów, wydawał się wśród rozradowanego obrazu wiosny wcieloną radością życia. Wydawał się bożkiem tego lasu pięknym i nieznającym z życia nic, oprócz radości.

Szło nas tam razem rówieśnic kilka, lecz tak się jakoś złożyło, że przez krótką chwilę rozmawialiśmy z nim u różanego krzaku tylko we dwoje. Powiedziawszy mi swoje nazwisko, dodał, że w odwiedziny do brata przybył na krótko, ale teraz widząc, że okolica ta nie jest uroków pozbawiona, zabawi też pewnie długo.

Niektóre z róż przekwitały i powiewami wiatru trącane, zrzucały mi trochę płatków na ręce i suknię. Jeden upadł na jego złote włosy i drżał tam jak różowy motyl.

Potem szliśmy już razem. Ze swobodą i wdziękiem ulubieńca losu i świata, czynił nam honory tego lasu, pokazując ścieżki najkrętsze i do najcienistszych ustroni wiodące, drzewa najwynioślejsze, polany najbogatsze w słońce i w kwiaty. Kwiatów, które dla nas zrywał, miałyśmy pełne ręce, a ścieżki, ustronia i polany pełnemi były naszych jasnych sukien i wesołych głosów.

Co do mnie, prawie nie widziałam ścieżek, polan i ustroni, bo oczy moje on jeden tylko napełniał, i wstyd mi wyznać, ale wyznam prawdę — że w tem pierwszem już spotkaniu zakochały się w nim moje oczy...

Spójrz, jak tam w głębi pokoju, w słabem dotknięciu dalekiego światła lampy, mętnie majaczy na obrazie płachta białości, a nad nią wiszą białe plamy, jak z próżni patrzące oka bez źrenic... Wiem! to obraz zimy. Śnieg na równinie, i na gałęziach drzew kwiaty śniegowe...

Śnieg jak marmur twardy i pod niebem chmurnem matowo biały, zaścielał szeroką równinę, gdy kulig huczny, rozdzwoniony, roześmiany, wypadł z bramy naszego wiejskiego dworu, pięknego, wielkiego dworu. Bez celu, bez planu, na parę godzin w przestrzeń szeroką, w pęd szybki po gładkich marmurach pod rzeźwe pocałunki lekko mroźnego powietrza!

Byłoż to zrządzeniem wypadku, czy jego zręczności, nie pamiętam, a może nie wiedziałam nigdy, ale jechaliśmy razem, tylko we dwoje. Konie jego, cztery konie stepowe, wpół dzikie, unosić poczęły sanie z szybkością tak niezmierną, że zdawało się, iż nie dotykając ziemi, suną powietrzem. Lecz jeśli było w tej szalonej jeździe niebezpieczeństwo jakie, mnie ono na myśl nawet nie przyszło, tak zajęła mię walka człowieka z temi potężnemi zwierzętami, które w pogoni z wichrem mogłyby, zda się, wicher przegonić i same, jak cztery ogniste wichry, pędziły, leciały z ciałami wydłużonemi, z płomieńmi grzyw, puszczonemi na wiatry, wydając z paszcz radosne czy groźne chrapania, wyrzucając z pod kopyt odłamy rozbitych marmurów, lub iskry, krzesane z drzemiących pod marmurami krzemieni.

Może nie spodziewał się, że przyjdzie mu stoczyć tę walkę, a może chciał stoczyć ją przed mojemi oczyma, nie wiem, ale u samego jej początku obrócił ku mnie twarz zupełnie spokojną i poprosił, abym się nie lękała. Kilka słów tylko, lecz w spojrzeniu, które na mgnienie oka zatopił w mej twarzy, błysnęła siła tak pewna siebie, że uczułam słodycz ufności zupełnej.

Stojąc obok mnie, w dłoniach, które wydawały się żelaznemi, ściskał wodze długie i tak wyprężone, że wyglądały jak czarne struny naciągnięte na białej harfie powietrza, którego ostre świsty wydawały się ich dźwiękami.

Pomimo szalonego pędu sań, postawa jego ani na jedno mgnienie oka nie utracała niezachwianej posągowości swych linji, ani jedno drgnienie nie przebiegało twarzy pobladłej i tylko pod futrzaną opaską czapki, złote brwi zbiegały się nad oczyma, w których osiadła i świeciła błyskawica wytężonej woli. Na wargach czerwonych miał ten wzgardliwy uśmiech, z jakim siła świadoma siebie i skupiona, poskramia nieświadome i rozkiełzane siły.

Przebiegła mi przez głowę myśl, że nie inaczej pewno Grecy przedstawiali sobie Faetona, gdy słonecznymi rumakami gnał po sklepieniu niebieskiem.

W świstach powietrza, w piekących pocałunkach mrozu, w stuku bryzgających z pod kopyt końskich marmurów śniegowych, w błyskawicowem migotaniu mijanych drzew, ludzi, zasp śnieżnych, lasów dalekich, ptaków wysoko lecących, z twarzą w płomieniach i piersią pełną dziwnej rozkoszy, nie odrywałam oczu od jego twarzy pobladłej, brwi ściągniętych, ust uśmiechniętych ze spokojną wzgardą, ramion potężnych, a jednak spokojnych i — kochały się, kochały się w nim moje oczy.

Wkrótce jechaliśmy już w sposób zwyczajny, rozmawiając zwyczajnie o rzeczach, o ludziach, aż nagle zamyślił się, długo patrzał na skłon nieba, który rąbkiem seledynowo-srebrnym rozdzielał chmury szare od białej ziemi i w oczach jego odmalowała się bezbrzeżna tęsknota. Wskazał mi świetlisty rąbek.

— Jak tam jasno!...

Z twarzą ku mnie obróconą dodał:

— I pani taka jasna... jasna!

Potem, ze wzrokiem znowu utkwionym w dal świetlistą, rzekł z cicha.

— Są na świecie ludzie pociemnieli, którzy pragną jasności... tak pragną!

I zaraz o czemś zwyczajnem, powszedniem mówić zaczął, ale nie był już wcieleniem radości życia. Jakby żalem, czy tęsknotą powiało na niego od jasności niebieskiej i — mojej.

Wtedy to, po powrocie z tej długiej zimowej przejażdżki, rzuciłam się bratu na szyję i chciałam powiedzieć mu wszystko, ale przy pierwszych słowach moich zmarszczył brwi niemal groźnie i niemal gniewnie zawołał:

— Jakto? ten wietrznik, marnotrawca, próżniak!

Ramiona moje zesztywniały i opadły z braterskiej szyi. Umilkłam i odtąd milczeliśmy o tem oboje.

Zdanie brata mego podzielała w zupełności tak zwana opinja publiczna. Uchodził powszechnie za człowieka z umysłym pospolitym i z charakterem lekkim, słabym. Uchodził za jednego z tych, którzy w mowie potocznej nazywani są ludźmi bez charakteru. Podobno w żadnej szkole i w żadnej nauce nie dotrwał aż do końca. Synem rodziny majętnej będąc, w ten sposób z jedynym bratem podzielił się znacznym majątkiem, że jemu pozostawił ziemię z całą surowością trudów i szlachetnością obowiązków do jej posiadania przywiązanych, a na swój dział zażądał i otrzymał tę rzecz, dającą swobodę wszystkim chęciom, niechęciom, żądzom, kaprysom człowieka, którą są pieniądze. Znaczną też ich część stracił już w czasie niedługim i w stronach dalekich. Tych rodzinnych stron swych prawie nigdy dotąd nie odwiedzał, a teraz przepędzał w nich już miesiące długie, jak wszyscy odgadywali, z powodu owego spotkania w maju, u krzaku dzikiej róży.

(C. d. n.)

# Pod trzeciego króla.

(Ciąg dalszy.)

Nie miał względów dla złych ludzi, nie dał się przekabacić ani panom, ani duchownym, a gdy mu chcieli dokuczyć, umiał ich bardzo praktycznie uspokoić.

Żydzi, przyjęci przezeń do Polski, nie wywdzięczyli się narodowi dotąd, i mało się ich przyznaje do polskiej narodowości, wolą obcych udawać. A mimo, że mają dość pieniędzy, to się dotąd nie zdobyli na pomnik humanitarnemu królowi, który w najgorszych dla nich czasach, tyle im ludzkości okazał.

Miła to była ta przejażdżka flisem po ojczystej rzece. Człek się naharował niemało, to prawda, ale jaki żem wtedy był wesół i szczęśliwy!

Jako fryc musiałem myśleć o opale i moją to rzeczą było patyków narąbać, drzewo spinać szrykówkami, posługiwać i przednikowi i starym orylom, a nawet „żarna“ czyli żona przednika używała mnie do różnych posług. Co siódma noc musiałem być na stróży, co się daje dosyć we znaki. Calutką noc nic ci flisaku spać nie wolno, a musisz wciąż się odzywać innym strażakom, gdy się nie odzywasz, to wiedzą żeś usnął i bieda wtedy. I co półgodziny wołają wartownicy: hukaj, hukaj! A ty musisz to samo odhukać. Pobudka ta bardzo mi

przypomniała owe wołania kozackie: „pugu, pugu“, które przywiódł Sienkiewicz w swych powieściach.

Mimo pewnych niedogodności, a głównie mimo prawie nędznej zapłaty za swą pracę oryl czuje się wesoły a czem się szczególnie niebożęta pocieszają że „żaden cysorz ani król nima do nich prawa, że oni są sami „książęta wodne“, lubo nagie i głodne. Słuchają tylko retmana przednika i wójta z pośród swego grona, ale po za tem nikt do nich nie ma prawa, jak mówią.

pnięcia: „dobywaj“ *) to te chłopy ani ruszyły z budy, i musiał retman dłużej świątkować.

Niedołęgi potulne harowały do zapadu na żyda, który i tak ich za nic nie miał.

Od Kazimierza do Puław jest droga wysadzona topolami włoskiemi — drzewem najniepożyteczniejszem. Frycowi każą te topole rachować i ja też to robić musiałem. Naliczyłem ich 21(. Pod Puławami stanęliśmy na święto, toć z przyjemnością wywiozłem się na „ląda“, jak mówią oryle.



PUŁAWY.

Choć to wierutna przechwałka, bo tu żyd szyper wciąż ci nad głową świergoli i woła: „Hej ty Wojtek, a przewróć no belki do góry „ryśpackiem“ albo żebyś mył tratwę itp. A które chłopy potulne, czyli bojące, to ci słucha i haruje czy trza czyli nie i z takimi szkoda iść pod trzeciego króla.

Ja byłem z takimi na razie, tom się przekonał że to nie zawsze prawda, co mówią o pokornem cielęciu. A chłopy od Siedliszowic n. p. rubaszne i nie wylewający za kołnierz, ale lud ten swą otwartą a śmiałą naturą nie dał się lada żydkowi lub jego wiernemu służce retmanowi za nos wodzić i flis z nimi był bardzo przyjemny.

Gdy retman nie chciał n. p. w niedzielę stanąć na święto 3 do 4 godzin, to lubo wołał do ochry-

Byłem tu w kościółku niedużym, ale jakże gustownie zbudowanym. Cały w krąg zbudowany a dach na nim, niby kapelusz chińczyka. Nad drzwiami wchodowymi czytałem napis taki:

„Pomny na wiarę i cnoty ukochanej Matki swojej Maryi z Sieniawskich księżny Czartoryskiej, W. R. Adam Kazimierz poświęca Wniebowziętej Boga Rodzicy“.

Stara to rezydencja Sieniawskich miała niegdyś ładny zamek na górze, ale go Karol XII. król Szwedzki kazał spalić za to, że Sieniawski trzymał z Augustem II. a nie z Leszczyńskim.

A Bogiem a prawdą nie było o co głowy łamać, bo Sasi nic dobrego Polsce nie przynieśli,

*) Dobywaj, znaczy, by śryki wydobyć z wody, które tratwę tamują.

owszem największe zepsucie narodu od nich się datuje. Wywieźli tylko z biednego kraju miljony, które obecnie polski robotnik potrosze stamtąd przywozi i zdobi chłopską biedę, a nawet galicyjską!

Żona ks. Adama Czartoryskiego Izabella z Flemingów, zrobiła niegdyś z Puław małe Ateny, które atoli nie długo istniały. Wpośród odwiecznych dębów i różnych drzew, zbudowała ta zacna Polka gmach wspaniały zwany świątynią „Sybilli“, i tu zgromadzono drogie polskie pamiątki. Zebrano, co się tylko gdzie dało i tu złożono, nawet z grobów brano kości sławnych ludzi.



SYBILLA.

Niestety, trochę tego potem zabrali moskale, a z reszty powstało owo prześliczne muzeum Czartoryskich, którego gdyś czytelniku nie widział, to ubolewam!

Tu to napisana była pierwsza historja Polska przystępnie dla ludu — która się zwie „Pielgrzym z Dobromila“, a z której tylu ludzi korzystało. Tu nieszczęśliwa córka księżnej Marja, wydana za ks. Wirtembergskiego, pisała swoją: „Malwinę“, i patrzała z bolem serca jak jej mąż pruso-moskal, kazał Puławy ostrzeliwać!

Tu mieszkał Kniaźnin, którego ładnej ody do wąsów któż śpiewać nie umie, tu Niemcewicz zrodził śliczną powieść: Jan z Tęczyna, tu bawił i car Aleksander I. a bawił tu i Fr. Karpiński, ów poeta elegijny, którego pieśni „Kiedy ranne“, „Wszystkie nasze“, „Bóg się rodzi“ i wiele innych, dotąd w kościołach lud śpiewa, a którego pisma bardzo mi do serca przypadają.

Bo to pisał prawdę po prostu, nie obwijał nic w bawełnę, a za co go najwięcej lubię, że się nie płaszczył ani przed królem, ani przed możnowładcami ówczesnymi, i kochał tak lud prosty, jak rzadko kto na owe czasy. Radzę każdemu rodakowi, aby przeczytał jego pisma, a przyzna mi, że tego człeka musi się pokochać.

Rodzina Czartoryskich do dnia dzisiejszego odznacza się szczególną staropolską uczciwością a sędziwy Jerzy Czartoryski, gdy w sejmie zabierze głos, czuje każdy, że ten człowiek mówi ze serca i szczerze. A już z ludowcami głosuje zawsze, zawstydzając tych tuzinkowych szaraków, którzy lubo zasiedli krzesła chłopskie, wcale nie o poprawie ich doli myślą.

Nie brakuje w Puławach i spichrzów, które ktoby budował nie wiem.

W owej sławnej budowli, która mieściła niegdyś tyle naszych drogich pamiątek, w r. 1869 umieścił rząd rosyjski, Instytut rolniczo leśny, w którym rozumie się duch moskiewski panuje.

Niżej Gołębia na prawym brzegu jest silna twierdza Demblin, którą moskale przezwali Iwangoród, a Puławy Nową Aleksandrją.

*Jakób Bojko.*

(C. d. n.)

# Krupiec.

Krupiec to przysiółek, dawniej dość wielkie miasteczko, bijące tętnem życia z obok leżącemi miastami Florjanowem i Lipskiem.

Dziś Florjanów już nie istnieje, Lipsko jest zwykłą galicyjską wioszczyną, zaś Krupiec to „dodatek“ do Narola.

Leżąc przy głównym trakcie jarosławsko-bełzeckim, dzieliło miasteczko losy historji północno-wschodniej Galicji, tamtędy przechodzili Tatarzy, Turcy, tamtędy przeleciała burza Chmielnickiego. I zniknęły wtedy owe trzy miasta. Florjanów poszedł w gruzy i zgliszcza, Lipsko po bohaterskiej obronie podstępem zdobyte, Krupiec spalony, znikła też pomyślność i bogactwo mieszczan, a tylko sława bohaterskich wysiłków obrony żyje w ustach okolicznej ludności.

W Krupcu miały być w bardzo dawnych czasach, trzy cerkwie a to pod wezwaniem: „Błahowiszczenia“, „Wowedenia“ i „św. Trójcy“; po dziś dzień odbywają się tam w tych dniach wielkie odpusty, na które przybywa tysiące Polaków i Rusinów.

Kiedy znikły, niema śladu, prawdopodobnie w czasie burzy Chmielnickiego, aż dopiero, gdy głębokie lasy Werchraty ściągnęły w swe objęcia mnichów reguły Bazylego Wielkiego, przybył do Krupca mnich nazwiskiem Jampolski, i zbudował w 17 wieku cerkiewkę, wzorowaną na stylu bizantyńskim. Była ona za maleńka, to też wkrótce ją rozszerzono, tembardziej, że u stóp ołtarza głównego z cudownym obrazem Matki Boskiej, cisnęły się olbrzymie fale tłumu, szukającego tu łask i osłody na twardej życia drodze.

Dziś nie istnieją już obie te drogie pamiątki. W r. 1893 rozebrano starą cerkiewkę, której wizerunek podajemy, a która z powodu oryginalnej struktury, należała do godnych uwagi zabytków naszych, w r. zaś 1901. spłonął cudowny obraz do szczętu wskutek nieostrożności.

Z cerkiewki ani śladu, nawet wizerunek, który podajemy, zdaje się, jest unikatem, pozostała jedynie na podwórzu cerkiewnem studnia, której woda cieszy się sławą cudownie uzdrawiającej.

W nowej murowanej cerkwi, stojącej opodal dawnej, nic godnego uwagi, prócz krzyża bazyljańskiego, prócz kilku obrazów, bo reszta wszystko pospolite.

Na starym cmentarzu dokoła cerkwi musi oko widza zatrzymać usypana mogiła, jak mi opowiadano, ręką księdza na grobie swej żony, duża, a w niej i jego spoczęły popioły.



STARA CERKIEWKA W KRUPCU.

Do obrazka tego dziś przysiółka dodać należy dość znaczny nasyp ziemny, ciągnący się na polu erekcyjnem, wedle tradycji, kryjący zwłoki jakiegoś chana dziczy tatarskiej, zabitego w walce.

Tam, gdzie rozlegał się huk broni, dzikie okrzyki pohańców, dziś słychać tylko cichy szmer młodych brzóz i świerków, zasadzonych dokoła, tylko rzewny głos dzwonów sławnej dzwonnicy, których echo rzewnie odbija się o drzewa, a które śląc boleści bratnich narodów w górę do Boga, dzwonią nam nadzieją, wiarą i miłością.

*Karol Notz.*

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

KSIĄŻKI. *Jerzy Brandes, Rosja.* Tłumaczenie z angielskiego. Lwów 1905. Nakład B. Połonieckiego (księgarnia Polska). Wyzłocone bizantyńskie kopuły, stanowiące winietę, a przypominające mury Kremla i śmierć Sergjusza, tworzą zalecenie dla książki, która w każdym innym czasie byłaby bardzo ciekawą, a dziś jest ponadto jeszcze aktualną. Znany z przyjaźni swojej dla Polski pisarz duński zwiedził w ósmym lat dziesiątku ubiegłego stulecia Rosję, a rezultat tej podróży zestawił w pokaźnym tomie osobistych wrażeń, uwag społecznych i historycznych. Kilkumiesięczny pobyt w caracie nie mógł Brandesa poinformować o wielu rzeczach, ale braki, jakiekolwiek by one były wynagrodzone są głęboką znajomością literatury rosyjskiej, z której autor czerpał i tło i charakterystykę stosunków rosyjskich. Na ogół wypada sąd Brandesa o Rosji bardzo ujemnie, widzi on dokładnie te wszystkie wady i braki kolosa, które dziś wystąpiły jaskrawo na światło dzienne. Stąd też dla zrozumienia dzisiejszych wypadków znajomość książki Brandesa jest bardzo pomocną, o podpatrzone bystro tajniki rosyjskiego czynownictwa przynoszą jak z jednej strony zaszczyt obserwacyjnemu darowi autora, tak znowu ze strony drugiej są ważnym argumentem ciągłości tej zgnilizny moralnej caratu, na którą Europa dopiero pod wpływem zwycięztw japońskich baczniejszą poczyna zwracać uwagę.

Omawiając stosunki rosyjskie, nie mógł autor pominąć także stosunków polskich, jakkolwiek poświęcił im już przedtem osobne dzieło. W „Rosji“ mówi autor o Polakach fragmentarycznie i mimochodem, ale i z tych wzmianek widać, że Brandes zrozumiał i ocenił dobrze tę przepaść jaka istnieje między uciemiężonym narodem, a despotycznym caratem.

Tłumaczenie polskie, Brandesa „Rosji“ zaleca się pięknym językiem, całość pod względem zewnętrznym i typograficznym ujmująca.

*Fr. Jaw.*

Drukiem W. A. Szyjkowskiego, we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.